GŁOS KOBIET 10 gr.

Nr. 7. Warszawa, 20 marca 1936 r. Rok XXIX

Jedyne pismo kobiet pracujących

Wśród serdecznych przyjaciół...

Sumy, wydawane na zbrojenia dochodzą do zawrotnej wysokości. Świat cały oskarża dyktatorów faszystowskich, siejących nienawiść między narodami, jako winowajców, ale nie ma ten „świat" ani siły, ani ochoty przeciwstawić się tej śmiercionośnej robocie.

Mussolini i Hitler grają pierwsze skrzypce w tej piekielnej faszystowskiej orkiestrze i w rezultacie niebezpieczeństwo wojny zbliża się szybkim krokiem.

Zapewnienia wszystkich rządów, że pracują dla utrzymania pokoju, nie mają żadnej wartości.

Jeżeli Niemcy Hitlera wydają miesięcznie 1000 MILJONÓW zł. na zbrojenia — na lądzie, morzu i w powietrzu—i zapowiadają rozprawę z Sowietami, to zrozumiale, że Rosja musi robić przygotowania „na przyjęcie" miłej wizyty hitlerowskiej armji i wydaje 800 miljonów miesięcznie na zorganizowanie obrony.

Francja i Belgja zagrożone przez wiarołomne Niemcy i nauczone strasznem doświadczeniem 1914 roku, kiedy armja niemiecka wpadła przez Belgję do Francji, siejąc spustoszenie i śmierć, wybudowała pas fortyfikacyj ochronnych, które kosztowały 11 MILJARDÓW FR.

Anglja, przerażona zbrojeniami Hitlera, przystąpiła do reorganizacji armji tak lądowej, jak powietrznej i uchwalono miljard na ten cel.

Ameryka buduje okręty wojenne olbrzymich rozmiarów, eskadry lotnicze z samolotami do rzucania bomb zapalających, burzących i t. d. Całą wielką wiedzę ostatnich lat zaprzągnięto do akcji zbrojeniowej, na zagładę i śmierć, narodów a może i całych części świata.

Jedyny ratunek przed katastrofą, to złamanie potęgi faszystowskich dyktatorów.

Między państwami zawarte są sojusze, pakty, porozumienia, przymierza.

W Europie Niemcy, Włochy, Węgry, Austrja, to główne siedliska faszystowskie.

I w innych krajach, jak na Litwie, Łotwie, Estonji, Finlandji rządy dyktatorskie nie liczą się z wolą obywateli.

W Polsce, przy pozorach parlamentaryzmu, lud także nie ma żadnego wpływu na politykę zagraniczną.

Między państwami i rządami dyktatorskimi istnieją porozumienia, względnie zawarte sojusze łączą je w jedną zwartą całość.

Istnieje porozumienie Polski z Niemcami, przez zawarcie paktu o nieagresji, t. z., że ani Polska nie napadnie na Niemcy, ani Niemcy nie zaatakują Polski. Takie samo porozumienie zawarła Polska z Rosją Sowiecką. Od początku istnienia Polski podpisany jest sojusz między Polską, Francją i Rumunją.

Skoro mamy tylu sojuszników i przyjaciół, zdawałoby się, że żadne niebezpieczeństwo Polsce nie grozi.

A jednak opinja kraju jest zaniepokojona „serdeczną przyjaźnią" hitlerowskich Niemiec.

Sam Hitler zapewnia przy każdej sposobności o swojej przyjaźni dla Polski, ministrowie przyjeżdżają do Polski na polowania, z odczytami, a równocześnie organizacje hitlerowskie prowadzą akcję za oderwaniem Śląska Górnego i Pomorza od Polski. 1 i pół miljona Polaków po stronie niemieckiej ulega terorowi i wynarodowieniu, miasta i wsie otrzymują niemieckie nazwy. Czy można budować na takich przyjaciołach, czy Hitler daje gwarancje, że sojusze przez niego podpisane, będą dotrzymane.

Dla zabezpieczenia się przed napadem hitlerowskim Francja, Czechosłowacja, Rumunja zawarły pakt z Sowietami. Hitler pod pretekstem, że Francja przez zawarcie tego paktu przekreśla dawne zobowiązania t. z. lokarneńskie, obsadził prowincję nad Renem, graniczącą z Francją, w której, od wojny, nie wolno było Niemcom trzymać ani jednego żołnierza.

Zjechali się więc przedstawiciele wszystkich państw do Londynu, bo tam przeniesiono z Genewy posiedzenie Ligi Narodów, żeby „rozprawić" się z Hitlerem.

Rozprawa byłaby łatwa, gdyby nie jedna „mała przeszkoda", obawa przed własnymi obywatelami. Załamanie się faszystowskich rządów w Niemczech, to początek końca wszystkich dyktatur, to porachunek z gnębicielami ludu, to przejście władzy do rąk przedstawicieli szerokich warstw ludowych. Hitler doskonale rozumie i ocenia znaczenie swoich rządów dla ustroju kapitalistycznego, dla przemysłu wojennego, dlatego pozwala sobie walić pięścią „w stół dyplomatyczny" i śmieje się z oburzenia całego świata, tego załamanego świata dyplomatów i obrońców pokoju.

Wzbiera jednak po drugiej stronie barykady i organizuje się klasa robotnicza, chłopi, inteligenci, świadomi, że koszta wojenne oni zapłacą, ci szarzy ludzie, odepchnięci od rządów, zmuszeni do milczenia terorem. Musi więc wzrastać zainteresowanie sprawami takiej doniosłości, jak wojna czy pokój, sojusze i przymierza, w najszerszych warstwach i świata kobiecego.

Trzeba wiedzieć, co się dzieje i w domu, i u sąsiadów, żeby zrozumieć, jakie niebezpieczeństwo i z której strony zagraża Polsce.

D. KŁUSZYŃSKA.



Zwycięski strajk włókniarzy

Dwa tygodnie trwał wspaniały solidarny powszechny strajk robotnic i robotników przemysłu włókienniczego w Łodzi. Dwa tygodnie toczyła się walka o przestrzeganie umowy zbiorowej, bezczelnie i prowokacyjnie łamanej przez fabrykantów. Strajk rozpoczęty w fabrykach, które umowy nie podpisały, po kilku dniach rozszerzył się— obejmując cały przemysł włókienniczy Łodzi i okręgu. Stokilkadziesiąt tysięcy robotników demonstrowało twardą wolę przeciwstawienia się zakusom fabrykanckim, dania należytej odprawy gwałcicielom ustawodawstwa pracy — jutrzejszym zamachowcom na nędzne już i tak zarobki robotnicze.

Z całego kraju płynęły wyrazy życzliwości i zachęty. Klasa robotnicza, przechodząca w ostatnich czasach do ofensywy wielkich walk strajkowych — czuła i wiedziała, że strajk łódzkich włókniarzy jest walką, w której zwycięstwo musi stać się udziałem walczącego proletarjatu. Nawet szereg gazet burżuazyjnych podkreślał prowokacyjne stanowisko przemysłowców i im przypisywał odpowiedzialność za wybuch strajku.

Walka prowadzona była z imponującą solidarnością. Nie zdołały jej złamać próby straszenia represjami. Nawet obałamuceni przez żółte związki robotnicy kilku fabryk przyłączyli się do powszechnego odruchu buntu.

I wreszcie nadeszło zasłużone zwycięstwo. W dn. 14 marca na konferencji wspólnej przedstawicieli kapitalistów łódzkich i delegatów robotniczych (Szczerkowski, Walczak) podpisano protokół likwidacji zatargu. Fabrykanci nie tylko zobowiązali się do przestrzegania obowiązującej umowy zbiorowej, ale ponadto w protokóle likwidacyjnym zgodzili się na szereg dodatkowych żądań, któreby przyczyniały się do zwiększenia bezrobocia lub były niebezpieczne dla zdrowia robotników.

Zwycięstwo włókniarzy i cały przebieg walki wskazuje, że uświadomienie klasowe wśród robotników wzrasta, dowodzi, że i na tym odcinku narasta fala zdecydowanej woli zwycięstwa, że robotnicy — gotując się do wielkiej decydującej walki o zwycięstwo swej idei — są dziś dość silni, dość świadomi i solidarni, by odeprzeć wszelkie próby zamachów na swe prawa.

Dlatego też w wielkim łańcuchu walk włókniarki i włókniarze łódzcy swą potężną akcją nietylko sobie przynieśli korzyść, ale zasłużyli się dobrze wobec całej klasy robotniczej.

Czasami trzeba przewidzieć

Życie jest skomplikowane. Jeden z wielkich satyryków rzucił powiedzonko: „nigdy nie można przewidzieć" — napisał pod tym tytułem sztukę i... omylił się.

Okazuje się bowiem, że czasami można przewidzieć. Krążą wieści, że istnieje kabalarka tak trafnie przepowiadająca — że przepowiednie jej sprawdzają się co do joty, w tej części, która dotyczy ...kalendarza. Np. jak powie, że jutro jest wtorek, to żeby niewiem co, będzie wtorek — oczywiście jeśli „kładzie" w poniedziałek.

Spróbujmy trochę zabawić się w kabalarstwo. Ale ponieważ uczono nas, że wszelkie zabobony i przesądy — to bujda, więc też zrobimy to inaczej. Zamiast starych wytłuszczonych kart, rozkładamy wycinki z gazet i wróżymy:

Oto mamy jakichś panów, którzy rozwodzą się nad cierpieniem zarzynanego byka... Hm, Byk, nóż cierpieć... Najoczywiściej „wychodzi" że jutro „wieczorową porą" ci sami panowie będą nawoływać do wyrzucania z mieszkań, sklepów, wogóle z kraju ludzi...

Dalej w drugim rzędzie naprawo układa się taka figura: walet żołędny — przepraszam gryzipiórek endecki — lituje się nad nieszczęsnym polskim robotnikiem. Endek—robotnik — litować: znaczy to, nieomylnie, że gdzieś tam pobije się żydowskich robotników i biedotę i zrobi dobry interes z żydowskim kapitalistą. Oczywiście interes ten zrobi polski kapitalista (t. j. król żołędny — nie jego sługa, endecki dziennikarz). I oczywiście tenże król nie będzie fatygował się biciem, nie będzie ryzykował oberwania pałką po głowie. Od tego są także „blotki" dwójki i trójki, które się szczuje na żydów, t. j. na takie same „blotki" innego koloru.

Dalej żwawa dama czerwienna — ani chybi tylko posłanka — staje frontem do byka. To już długa historja. Znaczy ona, że wieczorową porą w dalekiem miasteczku dużo ludzi — może setka, dwie — będzie próbowało, jak to trzeba ogłuszać... próbowało na ludziach i ich sprzętach. Z pierwszych rozkładów kabały wiemy już, że chodzi ciągle o karty, tego samego koloru — przepraszam o ludzi tej samej narodowości i wyznania.

I jeszcze jeden rozkład: Widzimy same płotki : biedaków, chuchraki głód. A dalej same figury, tłuste syte, dobrze odziane. Ale znowu przedziela ich karta — przepraszam, cała prasa endecka — która zakrywa im widok na owych sytych a odsłania tylko żyda.

Przewidujmy: przecież w następnym kart rozkładzie rozlecą się owe karty — przepraszam: szmaty endeckie — i wróżba wypadnie: asy i króle precz! krzywda precz!.. Nędza jednych — bogactwo drugich precz! Wypadnie jasny poranek i pomyślna wieść dla wszystkich .

Tylko niech te karty — przepraszam: endeki — nie zasłaniają.

Szczęśliwe zwierzęta-nieszczęśliwe dzieci

Warszawski Ogród Zoologiczny buduje znacznym kosztem nowe pomieszczenia dla lwów i słoni.

W końcu ogrodu, w części zwanej „Afryką" (nasz ogród zoologiczny dzieli się według części świata) znajdzie pomieszczenie półokrągły, w kształcie ucha, wygon (wyraz ten wydaje się bardziej prawidłowy od spospolitowanego „wybiegu"), największy w Europie, bo posiadający 120 m. długości i 30 m. szerokości, 7-metrowa fosa będzie go dzieliła od publiczności. Przez taką szerokość nie zdoła przeskoczyć najsprężystszy „kot"! Z klatek drapieżce będą wybiegały na szeroką, dobrze wyrównaną przestrzeń, na której będą mogły igrać klockami, turlać się i zażywać ruchu. W głębi zbudowane będą sztuczne skały i rozpadliny, przypominające prawdziwą Afrykę.

Co się tyczy Jasia i Kasi, to oboje doszli do pełnoletności i muszą być rozdzieleni. Okólnik dla tej pary słoni — przewidując i ich przyszłe potomstwo — będzie niezwykle obszerny; liczyć będzie około 2500 metrów kwadratowych, w tem mieścić się będzie basen do kąpieli.

Budynek, wymiaru dwustu kilkudziesięciu metrów kwadratowych, już jest gotów. Posiada oświetlenie górne, rzucające światło na zwierzyniec, podczas gdy część dla publiczności ukryta jest w półmroku, aby słonie miały więcej swobody. Centralne ogrzewanie dobrze jest zamaskowane, by trąby słoni nie mogły go uszkodzić. Ciepło sączy się szczelinami ze ścian.

Dla tysięcy dzieci w Warszawie jedyny „wygon", to brudne, cuchnące podwórko i zakurzona ulica.

Zamiast klocków, czy innych zabawek, mają śmietnik z jego zawartością.

Dla słoni buduje się basen i słusznie, bo słonie muszą się kąpać. Dzieci robotnicze myją się pod kranem, albo na misce glinianej, albo się nie myją, bo matka nie ma czasu.

Budynek dla słoni obszerny, posiada oświetlenie górne; centralne ogrzewanie sączy się szczelinami ze ścian. A chłopi pakują dzieci do worków z sieczką, żeby nie zmarzły, albo trzymają w barłogach przez zimowe miesiące, bo nie mają odzienia, ani obuwia, a w izbach mróz osiada na ścianach.

Dzieci muszą mieć i światło i dużo przestrzeni, i ciepło w zimie i odpowiednie pożywienie.

Żądamy więc takiej samej troskliwości dla dzieci, jaką mają szczęśliwe lwy i słonie.



Panie władza, niech mnie pan prędko wylegitymuje, bo zapomniałem jak się nazywam i gdzie mieszkam.

Siekierą na męża-pijaka

20-letnia Stanisława Zyskowska miała męża, nałogowego alkoholika. Kiedy pijany wracał późną nocą do domu, urządzał awantury, kończące się wyrzucaniem żony przez okno (z parterowego mieszkania) na ulicę.

Zyskowski nie pracował, dom utrzymywała żona, robotnica fabryczna. Pijak często przychodził pod fabrykę, urządzał wielkie awantury, tak, że dyrekcja zagroziła Zyskowskiej wydaleniem z pracy.

Po jednej awanturze w portjerni, Zyskowska, po powrocie do domu, zaczęła czynić mężowi wyrzuty, że pozbawi ją pracy, jeżeli nie przestanie pić i awanturować się. Czuły małżonek chwycił żonę za włosy i swoim zwyczajem wyrzucił przez okno.

Nieszczęśliwa nie mogła wrócić do mieszkania, bo pijak zamknął drzwi. Wybiła więc szybę i przez lufcik weszła do izby.

Awanturnik leżał na łóżku, niepanując nad wzburzeniem Zyskowska chwyciła siekierę i rzuciła się na męża. W obronie stanęła teściowa, która wyrwała siekierę z rąk oszalałej z rozpaczy kobiety.

Stanisława Zyskowska stanęła przed sądem pod zarzutem usiłowania zabójstwa męża.

Nieszczęśliwa kobieta zeznała, jak straszne było jej pożycie z mężem nałogowym pijakiem, którego nie mogła się pozbyć. Był dla niej ciężarem nie do zniesienia i w takich warunkach żyć dłużej nie mogła. Obrona tej młodej kobiety musiała wzruszyć nawet najtwardsze serce.

Józefa Łakoma, sprzedawczyni gazet, wypaliła oczy mężowi swemu Władysławowi, nałogowemu alkoholikowi.

Zabierał żonie ciężko zarobione pieniądze, na wódkę. W domu panowała nędza, dzieci chodziły głodne i obdarte.

Pijak rzucił się na żonę, żeby zabrać targ dzienny, a gdy broniła woreczka z pieniędzmi, chwycił ją za gardło i zaczął dusić.

Nieszczęśliwa matka nie mogła patrzeć dłużej na męki swoich dzieci, nie miała sił do walki z mężem - pijakiem, kupiła butelkę kwasu solnego, aby popełnić samobójstwo.

Duszona przez męża, straciła panowanie nad nerwami i chlusnęła kwasem w twarz męża.

Przed sądem opowiedziała męczeństwo swego życia. Lata walki z alkoholikiem, straszny wpływ jego na dzieci, nędza i ciągła obawa o życie swoje i dzieci.

I jedna i druga według litery prawa, to zbrodniarki. Pewnie obrońcy przytoczą dużo okoliczności łagodzących, sędziowie mogą wydać łagodne wyroki, ale kto wróci tym nieszczęśliwym zniszczone życie.

„Co Pan Bóg złączył, ludzie nie mają prawa rozłączyć", mówi kler i inni obrońcy nierozerwalności małżeństwa.

A przecież takie małżeństwa są zaprzeczeniem tego, co nazywamy ogniskiem domowem, są przekleństwem z ofiarami biedne, jak strasznie biedne kobiety i dzieci.

Osobiste świadczenia wojenne

W Dzienniku Ustaw nr. 17 z dnia 5 lutego ogłoszono ustawę o osobistych świadczeniach wojennych obowiązujących dla wszystkich mężczyzn i kobiet.

Powołani obowiązani są do wykonywania prac, zleconych przez władze, na rzecz której świadczenia są wykonywane, bez względu na istniejące ograniczenia, wynikające z obowiązującego ustawodawstwa o pracy.

Zwolnione mogą być od świadczeń wojennych:

a) osoby chore, dotknięte ułomnością fizyczną oraz kobiety, będące w ciąży; b) kobiety do 6 tygodni po odbyciu porodu, kobiety karmiące oraz matki, wychowujące dzieci w wieku do lat 13; c) osoby, których powołanie mogłoby uniemożliwić lub utrudnić wykonywanie przez nie świadczeń rzeczowych.

Ustawa określa miejsce pracy, narzędzia, których powołani muszą dostarczyć, jak i zwierzęta pociągowe i wynagrodzenia za świadczenia osobiste, jak i inwentarz.

W razie wojny kobiety obowiązane będą pracować tak jak i mężczyźni i podlegać będą władzom wojskowym.

Wieś głoduje — miasto nie ma co jeść

Piękne słowa od święta i szara rzeczywistość

W Polsce kosztuje kg. soli 36 gr., to też ludność wiejska kupuje tańszą sól bydlęcą i w jednej solonej wodzie gotuje cały tydzień kartofle.

Sól wywożoną zagranicę sprzedaje się po 2 — 3 gr. za kg.

Powiadają, że bliższa koszula ciału, aniżeli kapota: pokazuje się, że jednak kapitaliści oddają sol za psie pieniądze na obcych rynkach, a obywatelom w kraju własnym sprzedają po „słonych cenach": 36 gr. za kg.

Cała mądrość obecnej gospodarki polega właśnie na takiej kalkulacji, że w Polsce cukier, węgiel, nafta, sól, masło, mięso kosztuje drogo, żeby właśnie można było wywozić po najniższych cenach.

Gdyby kg. cukru kosztował 50 gr., spożycie wzrosłoby tak wydatnie, że nie zachodziłaby potrzeba wywożenia zagranicę i co jeszcze ważniejsze, nie zamykanoby mniejszych cukrowni, skazując ludność na bezrobocie.

Przeważnie cukrownia, to jedyne źródło zarobku dla ludności wiejskiej; jedni pracują w cukrowni przy produkcji, inni dostarczają buraków.

Zamykanie tych jedynych warsztatów pracy, to straszna krzywda. Obecnie ma ulec zamknięciu 12 cukrowni mniejszych, położonych daleko od szlaków kolejowych.

Właśnie w okolicach, gdzie „świat deskami zabity", cukrownia — to ośrodek, skupiający ludność i podnoszący kulturę rolną i oświatę.

Od święta opowiada się piękne słowa o wspólnym interesie wszystkich obywateli, dla podniesienia na duchu maluczkich.

Nie wytrzymują jednak próby życiowej, skoro zysk przedsiębiorcy decyduje o utrzymaniu, względnie zamknięciu warsztatu pracy, jak kopalnia, fabryka, cukrownia, magazyn i t. d.

Chłopi, uroducenci masła, mięsa, wcale nie jedzą tych artykułów. Wiadomo, że masło, jajka, ser, śmietana sprzedaje kobieta wiejska handlarzom, albo na targu, jeżeli wieś jest blisko miasta, bo to jedyna możliwość otrzymania gotówki. Zdaje się niejednemu nieuświadomionemu człowiekowi, że ludność wiejska jest zdrowa, bo ma dużo powietrza i słońca.

Do zdrowia potrzebne jest racjonalne odżywianie, a wieś głoduje, w całem tego słowa znaczeniu.

Głodują bezrobotni, głodują mało zarabiający robotnicy i pracownicy umysłowi. Jeżeli dodamy do tego obrazu, jeszcze potworne warunki mieszkaniowe, zrozumiemy, że ludność i na wsi i w miastach nie ma warunków dla utrzymania zdrowia tak dorosłych, jak dzieci. Gruźlica, krzywica, to choroby, które niszczą życie.

A mamy żywności wystarczające ilości dla wszystkich obywateli i obywatelek, niestety mamy także złą gospodarkę.

Dziecko i my

Odpowiedzialność

My, dorośli, za wszystko, co robimy i co mówimy, musimy odpowiadać. Wiemy o tem. Wszyscy wiemy, że nawet nieznajomość jakiegoś prawa nie uwalnia nikogo od odpowiedzialności za jego przekroczenie.

Czy na miejscu naszej pracy, czy w domu, czy też na zebraniu jesteśmy odpowiedzialni za całe nasze postępowanie i za wypowiedziane słowa. Nawet za nasze myśli odpowiadamy wobec siebie samych, wobec naszej własnej świadomości, naszego „sumienia" Każdy z nas, dorosłych ludzi wie, że odpowiada za siebie wobec innych ludzi i wobec siebie samego. Do tej odpowiedzialności pociąga nas albo prawo, albo nasi zwierzchnicy, albo nasze otoczenie.

I to poczucie odpowiedzialności wobec innych jest w nas wszystkich. Za wszelkie nasze uczynki odpowiadamy jakby „własną skórą". Ale nietylko w stosunku do równych nam innych dorosłych ludzi powinniśmy pamiętać o odpowiedzialności. Nie. Bo i wobec dzieci — czy to młodszych, czy starszych — musimy być zawsze odpowiedzialni za nasze czyny i słowa. Niewolno nam nigdy o tem zapominać.

Dzieci są słabsze, mniejsze i zależne od nas, ale one przecież patrzą na nas, biorą z nas przykład, uczą się od nas. Mało więc tego, że sami musimy odpowiadać za siebie wobec dzieci, ale jeszcze trzeba wpajać w dzieci poczucie odpowiedzialności.

Józio łobuzuje się i hałasuje. Matka nie może sobie z nim dać rady i mówi:

— Józiu, jeżeli będziesz grzeczny, to pójdziesz w niedzielę do kina.

I Józio był grzeczny, nawet bardzo grzeczny. W niedzielę przypomina obietnicę, a matka na to:

— Też coś wymyślił? Taki smarkacz i do kina chce iść? W domu siedź.

— Co? ja obiecałam? Eeee. głuptasie, przecież ja to tylko ot tak sobie powiedziałam.

A Józio płacze. Płacze, ale jest już „mądrzejszy". Już wie, że można rozmaicie obiecać; albo naprawdę, albo „tylko ot tak". No i potem nieraz sam nie będzie dotrzymywał danego słowa. A to przecież źle!

Ojciec rozzłoszczony wraca do domu i uderza już w drzwiach ośmioletnią dziewczynkę. A dlaczego? Ano za nic. Poprostu ze złości. Poprostu dlatego, że ją pierwszą napotkał, wchodząc do mieszkania. I znowu jest źle. Dziecko „zmądrzało", — wie już teraz, że można bić za coś, ale można bić i ot tak — tylko dlatego, że jest się silniejszym. Dziecko widzi, że starsi robią z niem, co chcą, że się z niem nie liczą, bo jest mniejsze i słabsze od dorosłych. I samo uczy się krzywdzić mniejszych i słabszych od siebie.

Każdy więc z nas, *każdy dorosły człowiek* powinien zawsze pamiętać, że *i wobec dzieci jest odpowiedzialny* za swoje postępowanie (uczynki) i słowa (obietnice).

Jeżeli zapominamy o tem i nie liczymy się z dziećmi, postępując z niemi w sposób zależny od naszego humoru (złości, wesołości lub zmartwienia), to dzieci przestają wierzyć w nasze słowa, przestają ufać w naszą sprawiedliwość.

Nietylko my sami powinniśmy liczyć się z dziećmi. Musimy wpajać w nie od najwcześniejszego dzieciństwa poczucie odpowiedzialności za popełniane czyny. przyzwyczajać je jakby i przyuczać do rozumienia tej odpowiedzialności.

Każde dziecko powinno wiedzieć i dobrze rozumieć, że odpowiada za swoje uczynki, nawet jeżeli to jest nieporządek w łóżku (o ile nie jest spowodowany chorobą), albo poplamiony zeszyt w szkole, albo rozlana zupa.

Zarówno więc my wobec dzieci, jak i dzieci względem siebie wzajemnie — *wszyscy za siebie odpowiadać musimy.* *J. M. P.*

Ścisłe wyliczenie

Eleganckie auto przejeżdża koło wsi.

Pan z auta pyta bawiącego się przy szosie Wojtka:

„Ile kilometrów do miasteczka?

„Dawniej było dziesięć, ale tam tej niedzieli burza wywróciła jeden kilometr, to ostało ino dziewięć".

Co kraj - to obyczaj

Podróże po świecie są przywilejem ludzi o jako-tako napełnionej kieszeni. Ponieważ nie możemy, niestety, zaliczać się do tej kasty — podróżujmy sobie chociaż na papierze, przeczytajmy sobie o przedziwnych obyczajach różnych krajów, których nie możemy sami obejrzeć.

O takim dziwnym, a ciekawym kraju, pisze pewien włoski uczony-podróżnik. Kraj ten leży w Azji środkowej i nazywa się Tybet. Leży on na wysokości 4 do 5 tysięcy metrów nad poziomem morza (a pamiętajmy, że najwyższy szczyt Tatr polskich nie przekracza 2.500 metrów), klimat jest tam nieznośny — wystarczy powiedzieć, że rozpiętość pomiędzy temperaturą dnia, a temperaturą nocy wynosi 30 do 40 stopni. Po upalnym, wszystko wysuszającym dniu następuje mroźna noc.

Oczywiście o drogach porządnych mowy być tam nie może, byle ścieżka, wiodąca wśród pustyni lub nad brzegiem przepaści — to jedyne trakty, a niech drogę przetnie rzeka, to drugi jej brzeg jest czemś nakształt „drugiego świata", gdyż mostów niema tam wcale.

Ludności w Tybecie jest mało. prowadzi ona życie koczownicze. Jedyną osłonę przed mrozem nocy stanowią nędzne namioty. Ani mięso, ani świeże jarzyny nie wchodzą w skład pożywienia Tybetańczyków. Głównemi produktami odżywczemi są w lecie mąka jęczmienna na wodzie i obrzydliwy płyn: herbata zmieszana z sodem, masło i sól. W zimie jedzą czasem suszone owoce.

Żyjący w tych prymitywnych warunkach ludzie są niebywale łagodni i weseli. Cechuje ich niebywały optymizm i wiara w dobroć.

Jedną z najprzykrzejszych ich wad jest odrażające wprost niechlujstwo i brud. Najpewniej warunki życia wędrownego wpływają na to: brak wody, zimno, trudności ubraniowe. Podróżnik, opisujący swe wrażenia, powiada, że nie widział, aby kobieta czy mężczyzna tybetańscy myli się porządnie. Twarz i dłonie — oto wszystko. Skutek jest taki, że przechodząc koło Tybetańczyka, trudno jest powstrzymać się od zatykania nosa — i nic dziwnego — pod ubraniem skóra jego pokryta jest skorupą nigdy niezmywanego potu i brudu.

Piękne i pełne wdzięku Tybetanki dzięki takiemu trybowi życia już w trzydziestym roku życia są brzydkie i zniszczone. Nie przeszkadza to jednak wcale temu, iż kobieta u tych wędrownych ludów odgrywa ogromną rolę. Oto młode dziewczęta poślubiają nie jednego mężczyznę, ale wszystkich braci naraz. A jeżeli i tego nie starczy, dobierają sobie męża z innej jeszcze rodziny, mniej lub więcej legalnego. Harmonja kompletna zda się rządzi rodziną, a liczni mężowie słuchają ślepo woli swej jedynej małżonki.

Co kraj, to obyczaj.



KRAJ BEZ KOBIET

Podług Peter Bolta 6)

— Bardzo się cieszę, naprawdę bardzo się cieszę, że pana spotkałem. Jestem mr. Smith, Joe Smith, naczelny steward na statku „Hastings“. A teraz wypijmy po szklance dobrego australijskiego wina za pańskie zdrowie.

Było już bardzo późno, gdy wreszcie wyszli. Mglisty poranek rzucał słabe światło na pustą przystań. Olbrzymie statki stały tam jakby w leniwym śnie pogrążone. Nawet woda zdawała się spać, śniąc o stałym spokoju, podczas gdy olbrzymie morze rzucało się niespokojnie. Za portem rozłożyło się uśpione miasto Fremantle. Sklepy były pozamykane, wszyscy wypoczywali po szalonej ,ruchliwej nocy.

Czterej mężczyźni szli ku „Hastingsowi“.

— Nie może pan już nigdzie pójść, mr. Ashton, — rzekł Joe Smith bardzo stanowczo. — Pójdzie pan poprostu z nami na statek i prześpi się pan. Pociąg do Perth nie odejdzie jeszcze prędko. Ma pan czas wyspać się trochę i może pan to zrobić. Nie rób pan ceremonji... dostanie pan dobre łóżko w kajucie. — Ashton nie dał się długo prosić, upadał prawie ze zmęczenia. Był zupełnie nerwowo wyczerpany. Smith ujął go pod ramię i wprowadził na statek. W parę chwil później był już pogrążony w głębokim śnie, z którego ledwie koło południa obudził go Smith.

Zerwał się przestraszony. Przypomniał sobie nagle matkę, czekającą na niego od wczoraj. Na niego i na żonę, którą miał przywieźć. Z pewnością wcale się nie kładła i nie wie jak sobie tłumaczyć jego długą nieobecność. Chodzi teraz stroskana w pustym domu, który miał dziś być pełen radosnego śmiechu trojga ludzi. Widział jak stoi przed drzwiami, spoglądając niecierpliwie na ulicę. Dym z komina wznosi się do góry, pochodzi z ognia w kuchni, na którym piekła się pieczeń... Prędko począł się ubierać. Gdy był gotów, Smith stał już przed nim.

— Zanim pan wyjdzie, mister Ashton, zje pan jeszcze ze mną śniadanie. Wkrótce je podadzą. Kazałem nakryć w mojej kajucie.

Ujął go pod ramię i poprowadził do kajuty.

Ashton mówił, że się niepokoi o matkę, chciałby jak najprędzej wysłać telegram do Perth, aby ją uspokoić.

— Będę panu towarzyszył, — rzekł Smith, — okręt będzie tu stać jeszcze cztery dni. Chcę spędzić trzy dni w Perth.

W drodze do urzędu telegraficznego, zaprosił Ashton swego nowego przyjaciela do domu, w gościnę do matki. Gdy przyjechali wieczorem i Ashton otworzył drzwi, staruszka stała chwilę zdziwiona przed nimi. Zamiast kobiety przywiózł Sim mężczyznę.

Mężczyznę zamiast kobiety! Co to miało znaczyć?

— Przedstawiam ci oto pana Smitha, droga matko! Jest to przyjaciel, bardzo dobry przyjaciel!

Ale matka wzięła syna w ramiona i przytuliła go do siebie, łzy zabłysły w jej oczach i nie pytała o nic, o nic! Było jej wszystko jedno i z płaczem wyrwało się z jej ust:

— Dobry przyjaciel?... bardzo dobry przyjaciel?... O mój chłopcze, mój drogi, duży chłopcze.

Cień śmierci i blask życia

W ciągu tych dwóch dni Sim i Joe ogromnie się zaprzyjaźnili. Sim, jako nowożeniec, miał osiem dni urlopu. Pomimo, że żony nie dostał, pozostawiono mu ten urlop na pociechę i dla odpoczynku po tych wzruszeniach. Zaraz pierwszego wieczora, gdy siedzieli we trójkę przy kolacji, opowiedział matce aż do najdrobniejszych szczegółów o wszystkiem, co mu się przytrafiło. Ze współczuciem słuchała jego opowiadania. Rada była, że syn teraz właśnie nie jest sam. Joe rozweselał go opowiadaniami o swych przygodach w podróżach i o kobietach w Londynie. Z łatwością mógłby dla Sima znaleźć stosowną żonę w Anglji i przywieźć mu ją, gdy znowu tutaj przyjedzie. A chce wkrótce tu wrócić na pewno.

Te trzy dni szybko zeszły. Przez te krótkie trzy dni pani Ashton potrafiła otoczyć przyjaciela swego syna serdeczną troskliwością. A Joe rozkoszował się w tej atmosferze ciszy, spokoju, pachnącej kawy i pieczywa.

— Chciałbym tu zostać w waszym kraju, — powiedział pewnego dnia. — Dawno już o tem myślę. Nie chcę więcej się włóczyć po morzach. Podoba mi się tu u was i chcę spróbować, tak jak i inni, pójść na pustynię, gdzie w piasku ukryło się złoto. Chcę go szukać, tak, jak inni... Dopóki się jeszcze uda, dopóki tam jest złoto.

Za trzy miesiące najdalej będę spowrotem. Przywiozę z sobą pieniądze, które zaoszczędziłem. Przywiozę także i żonę, tak, na pewno, bo bez żony, widzę to już, ciężko jest tutaj. Tobie też przywiozę żonę. Powiedz mi, jaką byś chciał mieć? Można tam dostać, jaką chcesz, wśród miljonów kobiet w naszym Londynie, pełnym ładnych, świeżych, rumianych Angielek. Jaką tylko chcesz. Wysoką, jak sosna, mocną i silną, a jednak wysmukłą, uwodzicielkę, a jednak wierną, wierną, jak Anglja. Albo chcesz może wytwornej, układnej o tęsknem spojrzeniu i głębokich oczach? Dlaczegóżby nie? Sam jesteś silny, może właśnie chciałbyś wątłej? Przywiozę ci stosowną, tę, o której marzysz.

Sim z pewnością słyszał wszystko, co mówił tamten. Słyszał nawet wyraźnie każde słowo. Ale ze swemi przymkniętemi oczyma wyglądał, jakby pogrążony we śnie. I zaledwie dosłyszalnie szepnął:

„I była pochowana w Singapore...“

Smith obrócił się nagle, zerwał się i stanął przed Simem, któremu z przestrachu wróciła przytomność.

— Czego chcesz z tem przeklętem pochowaniem w Singapore? Co cię obchodzi ta kobieta? Nigdy jej nie widziałeś! Nie pragnąłeś jej, ani ona ciebie! Do djabła, raz jeszcze do djabła! Chcesz doprawdy grać rolę wdowca, dlatego, że otrzymaliście ten sam numer! Co cię ten numer obchodzi?

Sim słuchał go w milczeniu, potem począł chodzić tam i spowrotem, trzymając ręce w kieszeniach.

— Co mię ta kobieta obchodzi? Mój Boże! masz rację. Nic mię nie obchodzi. Nigdy jej nie widziałem, ani ona mnie. Rzeczywiście, może to być bardzo śmieszne czuć się wdowcem. Ale... nic na to nie poradzę... tak jest, a nie inaczej. Tłumaczę sobie i czuję, że to nie ma sensu, jest śmieszne. A jednak to mię wciąż gnębi. I jestem nieszczęśliwy, jak pies, jak opuszczony, bezdomny pies. Widzę, że to szaleństwo, że nie ma sensu. Ale nie mogę się przezwyciężyć!

Joe Smith wybuchnął śmiechem:

— Czy się nie obudzisz wreszcie? Słuchaj mię uważnie! Nie powinienem tego może mówić, jestem przecież oficerem okrętowym. A są to wewnętrzne sprawy służbowe, ale muszę to zrobić. Nie mogę znieść, żeby taki chłopak, jak ty, psuł sobie życie o nic, bez powodu i przyczyny. Cała ta historja już by nie miała sensu, gdyby rzeczywiście tak było, jak myślisz, gdyby rzeczywiście twój numer umarł. Wówczas nawet szaleństwem by było trzymać się rozpaczliwie tego numeru i opłakiwać go. Nawet wówczas byłby to tylko numer, a nie człowiek, nie szmat życia, z którym łączyłoby cię jakieś wspomnienie. Ale tak nie jest. Kobieta ta początkowo nie była wcale twoim numerem. Była innemu mężczyźnie przydzielona. Na krótko przed przybyciem do Fremantle, przyszła kapitanowi myśl, aby wylosować umarłą kobietę, którą chowaliśmy. Tak, mój synu, wylosować. Zrobił to i tyś ją wygrał. A co jest najzabawniejsze, że ja losy ciągnąłem. Nie patrz tak głupio, mój chłopcze, tak jest, jak ci mówię. Nie wiedziałem wcale, o co chodzi, kiedy kapitan kazał mi wyciągnąć numer z pudełka. Wyciągnąłem 68. Pamiętam doskonale: 68. Numer ten miał wygrać trupa. Ustalono, że 68 byłeś ty: „Sim Ashton, telegrafista z Perth“. Czy pamiętasz, że nazwisko twoje było mi znane, że je poznałem i powtórzyłem wówczas w nocy w knajpie, tam we Fremantle, gdy się przedstawiłeś? Nigdybym ci tego naturalnie nie opowiedział, gdybyś tej sprawy nie wziął tak tragicznie. Nie opowiedziałbym ci tego, gdybym cię nie pokochał, gdybym do waszego domu nie przybył. Ale dlaczego kapitan wówczas całą sprawę w ten sposób rozstrzygnął, nie mogłem do dzisiejszego dnia dobrze zrozumieć. Nie było to wcale potrzebne. Dziewczyna od początku komuś była przydzielona. Ten ktoś powinien był ją stracić, a nie inny. Dlaczego kapitan całą tę historję stworzył, nie rozumiem! Może... zapomniał, że sprawa sama przez się była rozstrzygnięta. Dość, że tak się stało. I rozumiesz teraz, jak śmiesznie jest opłakiwać tę osobę.

Sim zerwał się ze swego krzesła.

— Jest więc zatem ta kobieta! — krzyknął wzburzony, — inna kobieta, moja kobieta... Kobieta, która do mnie należeć miała... którą mi odebrano... która tu się znajduje, żywa...

— Nie tak gwałtownie, mój chłopcze!... tak czy owak... wszystko to już minęło... tę ma już inny... kapitan mógł czynić, co chciał. Zapomnij o całej tej sprawei... przywiozę ci inną, którą ci wybiorę... według twego gustu. O tamtej również nic nie wiesz! nie wiesz, czyby ci się podobała! Uspokój się, dziecko! przecież to szaleństwo, istne szaleństwo! Powarjowaliście tu wszyscy z waszemi kobietami!

— Dobrze, — rzekł Sim z rezygnacją, — jestem zupełnie spokojny. Sprawa zupełnie inaczej się przedstawia. Ale kto dostał kobietę, która miała do mnie należeć? Czy wiesz o tem?

(C. d. n.)

Zofja Goździejewska

Stasinkowa

W miejscu, gdzie kończył się nasyp a zaczynał głęboki, porośnięty sitowiem dół, dawniej glinianki, rosła stara, ogromna wierzba. Miała gałązki tylko z jednej strony, długie, nawpół uschnięte, wyciągały się nad dołem, by proszące, ludzkie ręce. Od strony nasypu pień był gładki, odarty z kory aż do samego wierzchołka. Pewno od pioruna.

U pnia tej wierzby dziwacznie poprzyklejana, poprzybijana do drzewa stała chałupa-rudera, podobna raczej do chlewu, niż do ludzkiego mieszkania. Jednym szczytem przymocowana do pnia wierzby, kawałkiem podłogi tylko opierała się o ziemię. Reszta wisiała w powietrzu nad dołem. Trzy nawpół przegniłe, olszowe słupki, wbite ukosem w piasek, służyły za podpory.

Kto tę chałupę zbudował i kiedy — niewiadomo. Widać było jednak, że materjał na nią narastał latami całemi może, stopniowo. Każdy słupek, palik, deseczka, miał tu swoją historję i datę; właściciel znosił je, jak ptak na gniazdo; po źdźble, po kawałku. Wszystko tu było nie tak, jak u ludzi, inaczej, dziwacznie. Słoma na dachu zczerniała i miejscami powyrywana przez wiatr, dziury zaś zatkano garściami perzu, lub zeschłej kartoflanej naci. Nawet komina w dachu nie było. Zastępował go kawałek blaszanej rury, umocowanej w ścianie od strony dołu. Bano się widocznie, żeby od iskry nie zajął się suchy spróchniały pień wierzby.

W ruderze mieszkał kulawy muzykant Stasinek z żoną i córką Michtą. Muzykant — może to trochę za szumne określenie, bo Stasinek na swoich popękanych skrzypeczkach umiał wygrywać tylko jedną melodję: jakąś mieszaninę polki i oberka. Ale, że w okolicy nie było nikogo odpowiedniejszego, więc Stasinek był muzykantem.

— Jak gra, tak gra, zawsze to jednak wesele inaczej wygląda, gdy skrzypki brzęczą. A jeszcze jak sobie człowiek podpije, to i nie uważa, jak grają, tylko skacze.

Co prawda, to i ludzie tak płacili Stasinkowi, jak on grał, czyli: marnie. Nie mieli więc do siebie żalu: ludzie do niego, ani on do ludzi. Zato miała żal Stasinkowa. Wolałaby, żeby mąż lepiej grał i lepiej zarabiał; Stasinek jednak niewiele sobie z tego robił: wierzył, że żona sama da sobie radę. Z jego grania dobrze, że starczyło na tytoń. Jakoś dawała. Raz lepiej, raz gorzej, ale dawała. Prawda, że latała z posługi na posługę, nocami brała pranie od dziedzica i urzędników z kantoru. Nawet na rodzenie dzieci znalazła czas. Przychodziły co rok i niedługo umierały. Wychowywaniem zato zajmował się mąż. Jak je tam wychowywał, Pan Bóg tylko wiedział, i ona czasem. Może właśnie ze strachu przed tą ojcowską opieką nie chciały żyć. Jednego roku umarło odrazu dwoje z tych odchowanych, została tylko najstarsza Michta. To była ojcowa córka. Kochał ją i po swojemu wychowywał. Pięcioletni dzieciak był dziki, papierosy paliła, jak chłop. Ludzi bała się, czy tak strasznie ich nienawidziła. Gdy nieraz z za nasypu wyszedł niespodziewanie któryś z robotników, zmykała do chałupy, zatrzaskiwała drzwi i z noskiem w jakiejś szparze śledziła, czy aby do niej nie idzie. Nicby ją wtedy nie wyciągnęło z kryjówki, chyba, że ojciec obiecał papierosa. Wtedy po namyśle zdejmowała haczyk i ze spojrzeniem dorosłego, niedobrego człowieka stawała obok ojca, oczekując spełnienia obietnicy.

Był jeden rok w czasie dzieciństwa Michty, który Stasinkowa nazywała najszczęśliwszym rokiem swojego życia. Jakoż wyjątkowo dobrze jej się powodziło w tym roku. Ze swoich posług i prania odłożyła tyle, że starczyło na kupno dwóch świnek i kozy. Teraz to już było całe gospodarstwo. Że liczba godzin, przeznaczonych na odpoczynek, znacznie się zmniejszyła, to głupstwo. grunt, że Stasinkowa była gospodynią. Lżej się jej teraz pracowało. Co jej bieda zrobi? Nic! Jedną świnkę sprzeda, a za pieniądze kupi węgla, kartofli, kapusty na zimę, drugą zabije dla siebie. I chociaż raz odpocznie po dziecku, wyleży się (miało być jakoś w grudniu).

Jednak ten najpomyślniejszy rok skończył się wcale niepomyślnie. Stasinek umarł niespodziewanie. Wypił podobno piwa na weselu, a że był zgrzany, więc mu zaszkodziło. Ledwo się do domu przywlókł i położył do łóżka. Była to niedziela, czy inny jakiś wyjątkowy dzień, dość, że kobieta była w domu. Pielęgnowała go całe trzy noce, a nawet doktora dwa razy sprowadziła — nic nie pomogło. Trzeciego dnia pod wieczór zaczęło się konanie. Właśnie zachodziło słońce. Ostre, czerwone promienie wdarły się przez nieumyte szybki i trafiły na głowę konającego i siedzącej przy nim kobiety. Te dwie twarze miały jeden wyraz: trupiej rezygnacji. Tylko oczy kobiety latały po izbie, jakby za ratunkiem. Co chwila z pod pierzyny w nogach łóżka podnosiła rozczochraną głowę Michta. Ponure oczy popatrzyły na ojca, na matkę, potem obleciały izbę i głowa znów ginęła pod pierzyną.

Później sciemniło się; godziny szły w tych ciemnościach i o której stary umarł — niewiadomo.

Dopiero, gdy w izbie zaczęło się rozjaśniać — dźwignęła się z ławy. Była to przecież zwykła godzina obrządku. Z przyzwyczajenia, jak codzień, powlokła się do chlewika, świniom dała po garstce otrąb, kozie trochę siana. Na dworze był mróz i ostry wiatr. Tyle tylko miała siły, żeby dojść do chałupy; zaraz potem przyszły pierwsze bóle (przecież to była połowa grudnia, więc czas na nią). Resztą sił chwyciła się łóżka.

— Michta, lećno do Rosłonki, powiedz, że matka chora, niech Rosłonka zaraz przyjdą.

Dzieciak wysunął głowę z pod pierzyny.

— Nie pójdę. Rosłoniaki mnie biją, kamieniami we mnie rzucają. Nie pójdę i już!

— A to mnie chyba Pan Bóg skarał z tem wszystkiem. Zdechniesz i nikt cię nie poratuje... a bodajcie z takiem dzieckiem!

A po chwili z prośbą, cichutko:

— ...Leć, Michcia... Tam, pod pasyjką dziesiątka... weź na cukierki i leć...

Mała złapała chustkę, trepy i poleciała:

— Chodźcie-no do nas, Rosłonko, matka zachorowali, powiadają: leć po Rosłonkę, niech zaraz przyjdą.

— Dobrze, już idę, tylko torfu na ogień podrzucę, żeby nie wygasł i lecę. Wyszły z izby za stodołę, ku chałupie muzykanta Baba, w wielkiej chustce i butach z cholewami brnęła w śniegu po kolana, dzieciak szedł jej śladami.

— Przecież ty te trepy pogubisz w takich zaspach. Nie było to wziąć matczynych trzewików? A dawno to matka chora.

— Dzisiaj; jeszcze świniaki napaśli i kozę, a potem, jak przyszli, stanęli przy łóżku i mowią leć po Rosłonkę.

— Stoi matka, mówisz? To dlaczego nie położyła się do łóżka?

— A bo na łóżku ojciec leżą. Umarli w nocy i leżą, to matka musi boją się położyć koło niego.

Kobieta przystanęła. Popatrzyła na dziecko, potem na chałupę i zawróciła do wsi.

— Niechno ze mną która idzie do muzykantki. Stary podobno umarł tej nocy, a kobieta zległa. Przecież jej tak nie zostawimy bez pomocy.

Gromadką pociągnęły do chałupy muzykanta. Drzwi do izby nie były zamknięte, widać Michta w pośpiechu zapomniała założyć haczyk; po izbie hulał wiatr. Na środku stał szaflik z resztkami zamarzniętego, koziego picia. Na podłodze od drzwi aż do łóżka porozlewane krwawe plamy.

Kobiety zatrzymały się u drzwi strwożone. Rosłonka tylko śmielsza podeszła do łóżka i drżącemi rękami odchyliła pierzynę. Było zapóźno. Między trupem a nieprzytomną kobietą leżało zimne, sztywne ciałko noworodka.

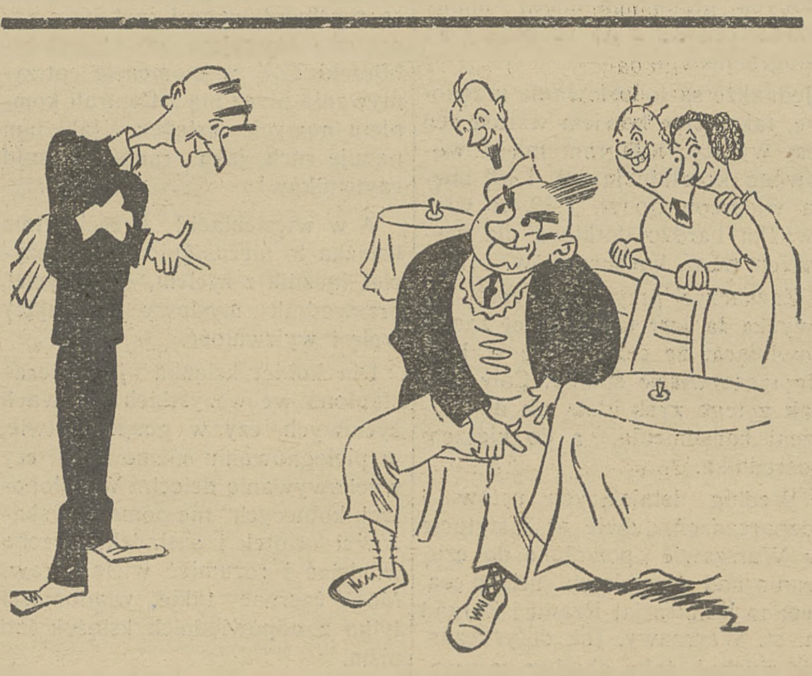
Tani płaszcz

W miejscowości Baintrees, w hrabstwie Essex, w Anglji przygotowuje się płaszcz koronacyjny nowego władcy Anglji, tudzież wspaniałe stroje dla jego świty. Książę of Norfolk, wielki mistrz protokułu, ma powierzoną sobie misję najdokładniejszego zbadania wszelkich próbek tkanin, wykonywanych w Baintrees.

Tkaniny aksamitne, które będą przygotowane na uroczystość koronacyjną króla Edwarda VIII, kosztować będą przeciętnie po 600 zł. za metr. Tkaniny jedwabne, haftowane nitkami szczerozłotemi, będą trzykrotnie droższe.

600 zł. to często zarobek roczny tkacza albo tkaczki. 1800 zł. to już dochód urzędnika niższej kategorji, dochód roczny, dla całej rodziny.

Królowie ubierają się w płaszcz koronacyjny raz w życiu. Kupują taki płaszcz poddani...



— Panie kelner, proszę o befsztyk, ale duży, bo jestem nerwowy i drobnostki mnie drażnią.

Czy należy bić dzieci?

Historja kary cielesnej.

Któż nie pamięta z nas słów elementarza: „Rózeczką Duch Święty dziateczki bić każe"...

I istotnie kara cielesna po dzień dzisiejszy ma wielu zwolenników nawet wśród tak zwanych sfer inteligentnych. A cóż dopiero, jeżeli chodzi o czasy dawne, gdy ludzie byli bardziej jeszcze ciemni i brutalni, niż dziś? O! wtedy to bicie dzieci było bezwzględnym dogmatem, przeświadczeniem, któremu nikt nie śmiał przeczyć.

Np. w szkołach średniowiecznych rózga była tak dalece „w robocie", że bito wszystkie dzieci w pewnych określonych dniach w roku, bez względu na to, czy coś spsociły, czy nie. Poprostu, aby odstraszyć je od psot na przyszłość. Ot — tak: „na zapas".

Rózga była berłem nauczyciela.

Na wycieczkach szkolnych i różnych uroczystościach nauczyciel kroczył na czele orszaku młodzieży, trzymając uroczyście rózgę w ręku!...

Utrwaliło się dzikie przeświadczenie, że człowiek, którego nie bito w dzieciństwie, nie trafi po śmierci do... nieba!

Dawniej panował zwyczaj bicia trupów po śmierci w tych wypadkach, gdy zmarły nie był bity za życia (!), celem ułatwienia mu drogi do raju.

Utarło się nawet wyrażenie: „być pod rózgą" — co oznaczało: być uczniem.

Ale dziś, w dobie rosnącej wciąż kultury, my nie zachwalamy chłosty. O nie!... Kara cielesna bowiem jest szkodliwa zarówno ze względów cielesnych, jak duchowych, moralnych.

Rozpatrzmy te sprawy po kolei.

1. Chłosta krzywdzi ciało (zdrowie)

Badania wybitnych lekarzy ustaliły, że kara cielesna działa bardzo szkodliwie na zdrowie z następujących m. in. względów:

1) przedwcześnie pobudza zmysły, co bardzo szkodzi zdrowiu, gdyż organizm płciowo niedojrzały, niedostosowany jeszcze do funkcyj płciowych, ulega silnemu podrażnieniu;

2) bardzo silnie podrażnia nerwy, wywołując często chorobę nerwową na przeciąg całego życia!

2. Chłosta krzywdzi duszę.

Zdarza się — dasz dzieciakowi „w skórę" — i myślisz: Ot! zapomni, nieborak i wszystko wróci do zwykłego trybu.

Nie jest to taka prosta sprawa. Bo oto znakomity uczony Freud dowiódł, że celowo nie można niczego zapomnieć całkowicie. Np. doznajemy jakiejś przykrości i staramy się o niej po pewnym czasie zapomnieć, myślimy, zajmujemy się czem innem.

Dziecko boleśnie odczuwa swoją słabość, niedoskonałość i zależność od starszych i całe późniejsze życie człowieka dorosłego jest tylko mimowolnem dążeniem do odegrania się za upokorzenia dzieciństwa.

Stąd pycha, zarozumiałość, mania wielkości, która staje się źródłem nieszczęścia, gdyż naprawdę wielkich ludzi jest mało, a miljony szarych obywateli nie mogą być uznane przez świat za tych, jakimi siebie wyobrażają.

Stąd rozpacz, żal, rozgoryczenie do świata, nienawiść ludzi, niemoralne, aroganckie ich traktowanie, zaniedbywanie swych obowiązków zawodowych, stąd choroby nerwowe i t. p.

Należy oszczędzać dziecku upokorzeń, a tem samem i przedewszystkiem — nie bić go!

3. Chłosta wychowuje złych ludzi i jest niemoralna.

Częste bicie przyzwyczaja dziecko do chłosty i stopniowo zaczyna ono sobie z „klapsów" nic nie robić.

Z drugiej strony przeciętny człowiek czyni dobrze przeważnie dlatego, że się wstydzi opinji publicznej — czyli z ambicji. Chłosta, poniżając dziecko, zabijając w niem poczucie honoru, tem samem wyrzeka się głównej sprężyny moralnych czynów przyszłego człowieka.

Chłosta przyucza do czynienia dobrze tylko ze strachu, a nie z poczucia słuszności. Gdy nic nie grozi, można czynić źle (**np. można** w dzisiejszych Niemczech gnębić socjalistów, niearyjczyków i t. p., gdyż to nie grozi karą).

Chłosta jest sama w sobie niemoralna, gdyż stanowi brutalny akt przemocy oraz wyzyskuje zależność materjalną dziecka od rodziców. Ponieważ dziecko odznacza się bardzo silnym instynktem naśladowczym, przeto naśladuje to samo w stosunku do słabszych, szanując „przykład z góry". Rodzi się kult, szacunek dla brutalnej siły fizycznej, cielesnej.

Chłosta rodzi obawę, a obawa rodzi kłamstwo. Skłania też do użycia podstępu. Dziecko czyni dobrze wtedy, gdy je rodzice widzą, gdy zaś ujdzie oka rodziców, tem chętniej czyni źle.

Nie bijmy dzieci!

Br. Pol.

Mięso drożeje

„Zniżki cen nie dotarły jeszcze do konsumentów", tak mówiono w Sejmie i w Senacie. Zapytać jednak należy, kiedy i w jakiej formie one dotrą. Minęło bowiem 3 miesiące od akcji zniżkowej, rozpoczętej przez rząd, a jednak pomimo to w dziale produktów spożywczych spotykamy najwyraźniejsze tendencje zwyżkowe.

W ostatnich tylko dwóch tygodniach, a mianowicie od 24 lutego do 7 marca, obserwujemy zwyżkę cen mięsa i produktów mięsnych. Na terenie Warszawy, według oficjalnych notowań, mięso wołowe podniosło się ze zł. 1.20 do zł. 1.26 za kilogram, mięso wieprzowe ze zł. 1.16 do zł. 1.22, kiełbasa ze zł. 1.88 do zł. 2, wreszcie słonina świeża ze zł. 1.26 do zł. 1.30. Tak więc na wyżej wymienionych gatunkach mięsa mamy wzrost cen od 2 do 12 groszy na kilogramie.

Jednakże są to notowania urzędowe, faktycznie bowiem wzrost cen jest wyższy. Kilogram mięsa wołowego kosztuje już zł. 1.40, mięsa wieprzowego zł. 1.30. A więc zwyżka bardzo dotkliwa dla szerokich rzesz konsumentów.

Zaznaczyć przytem trzeba, że zwyżka ta jest tembardziej zastanawiająca, że ceny mięsa w hurcie rzeczywiście spadły. Cały jednak z tego zysk idzie nie do kieszeni konsumenta, a do kieszeni pośrednika.

Według istniejących ustaw i rozporządzeń, dwie są instytucje w Warszawie powołane do czuwania nad normalnym ruchem cen, jest to Komisarjat Rządu i Zarząd m. st. Warszawy. Jak dotychczas, nie słychać, żeby obydwa te urzędy zainteresowały się wydatnie sprawą cen mięsa.

Ob. Badowski, zam. ul. Krasińskiego 18/250 wpłacił na fundusz prasowy „Głosu Kobiet" zł. 1.40 dn. 16. III. 1936 r.

Jednajcie nowych Czytelników

6 str.

Co można zrobić z książką?

„Letniacy" zrujnowali w miasteczku straż ogniową, bo dawali na loterję fantową książki. Nikt biletów nie kupował i przez to chluba miasteczka i jego ukochanie, straż ogniowa, poniosła straty.

Autorzy „Pamiętników Chłopów" i „Pamiętników Bezrobotnych" napisali, że odczuwają tak palący głód książki, że wyszukują wszelkiemi sposobami nietylko książki, ale nawet stare gazety, bo na nowe ich nie stać. Chcą czytać, czegoś się dowiedzieć, nauczyć, — lub znaleźć rozrywkę. Młodzież wiejska lub miejska w organizacjach jak T. U. R. i inne poszukują książek, bo bez książki nie może zająć się samokształceniem, nie wie co się dzieje na świecie i jest we wszystkich poczynaniach bezradna.

Książki w bibljotece robotniczej, są rozchwytywane i czytane z zapałem. Zajrzyjcie do którejś bibljoteki ZZK. w momencie otrzymywania przez nią z Centrali kompletu nowych książek. Jaki tam panuje ruch, jaka radość wśród czytelników!

A w więzieniach! Przecież tam książka to niezastąpiony pocieszyciel, łącznik z życiem, nauczyciel, przewodnik myślowy hartujący wolę i wytrwałość.

Dla kobiet książka jest niezastąpiona we wszystkich sprawach życiowych, czy w gospodarstwie, w pielęgnowaniu niemowląt, czy wychowywaniu dzieci. W „kłopotach kobiecych" nie pomogą wskazówki ciotek i sąsiadek, trzeba wiedzieć i rozumieć wiele spraw. Mogą czerpać takie wiadomości tylko z **odpowiednich** książek lub pism.

A cóż to się stało, że książki, które tak cenimy, które mają taką siłę twórczą, że zmieniają światopoglądy, zmieniają ustrój społeczny, zrujnowały straż ogniową, bo ludzie obawiali się, że wygrają właśnie książki.

Źle to świadczy o mieszkańcach małego miasteczka, jeżeli siłą przyciągającą do loterji fantowej są „prawdziwe" fanty, t. zn. przedmioty nie przedstawiające żadnej wartości.

Gdyby książki „letników" nie były nawet całkiem odpowiednie, można dokupić trochę lepszych i zorganizować bibljotekę. Powoli uzupełnia się dziełami wartościowemi i spełnia się zaszczytne zadanie, siania uświadomienia.

Książki ciekawe i wartościowe wzbudzą w rzeszach ludzkich tak piękne uczucia, takie zrozumienie dla potrzeb, czy to straży, czy innych zadań społecznych, że nie będą zdane na łaskę ludzi ciemnych. Brak uświadomienia to największy wróg ludności.

Czytanie książek i gazet musi być chlebem powszednim dla wszystkich.

Zbierajcie więc książki do bibljotek dla starszych, dla młodszych, dla dzieci. Dobra książka to przyjaciel, gazeta robotnicza, to źródło wiadomości dla wszystkich.

Bibljotekarka.

NA SZEROKIM ŚWIECIE

25-LECIE „DNIA KOBIET". Na kongresie socjalistycznym w Kopenhadze w 1910 r. uchwalono, na wniosek Klary Zetkin organizować „dzień" specjalnej propagandy wśród kobiet, z hasłem równouprawnienia politycznego.

Od 25 lat partje poświęcają jeden dzień, tydzień, nawet miesiąc na zgromadzenia, na których przemawiają najwybitniejsi ludzie. A jednak praw wyborczych kobiety jeszcze nie mają w demokratycznych krajach, jak Francja, Szwajcarja, Belgja.

Tegoroczne 25-lecie odbędzie się z hasłami przeciwko faszyzmowi i wojnie.

Walka o prawa dla kobiet jest ciągle aktualna.

W NORWEGJI rząd robotniczy przedłożył projekt do zmiany konstytucji, wprowadzający zupełne równouprawnienie kobiet we wszystkich dziedzinach życia publicznego.

Proponowana zmiana przewiduje działalność kobiet w służbie kościoła, t. zn., że mogą zostać pastorami być w służbie w armji, chociaż w tej dziedzinie istnieją duże uprzedzenia, trudne do przezwyciężenia.

MIASTO, GDZIE KOBIETY RZĄDZĄ. Miasto Lawford w Anglji jest jedynem miastem w świecie rządzonem przez kobiety. Począwszy od burmistrza a kończąc na woźnym magistrackim wszystkie urzędy miejskie obsadzone są przez przedstawicielki płci pięknej. Drugą osobliwością miasta jest brak jakiejkolwiek policji. Mężowie pań, dzierżących władzę w mieście, są najprzykładniejszymi obywatelami świata i zbytecznem jest stosowanie w stosunku do nich jakichkolwiek środków przymusowych.

Jak widać z powyższych wiadomości, kobiety umieją dobrze rządzić powierzonem sobie miastem.

OFIARUJĄ WARKOCZE. 800 mieszkanek Tokio (Japonja), należących do najwybitniejszych rodzin, kazało ściąć sobie włosy i utkać oryginalny sztadar. Obok czarnych włosów młodych Japonek nie brak i siwych włosów. Cesarz rozkazał, aby sztandar ten pozostawał zawsze w pułku, który odznaczył się najwaleczniejszemi czynami bojowymi.

Bogate Japonki dają warkocze, biedne matki — swoich synów armatom i karabinom.

ANGLICY MNIEJ PIJĄ. Pod koniec 19-go wieku przeszło 19 procent dochodów budżetowych czerpał rząd angielski z podatku od napojów alkoholowych. W roku 1935 dochód z tego źródła wynosił tylko 4 i pół proc.

Anglicy mogą z dumą powiedzieć, że nie mają „pijanego" budżetu, jak wiele państw, naprz. faszystowskie Niemcy, gdzie spożycie alkoholu wzrosło od czasu objęcia rządów przez Hitlera.

I w Polsce wzrosła sprzedaż spirytusu dla celów konsumcyjnych o 15%, przekraczając 300 tysięcy hektolitrów. Kiedy spożycie wszystkich artykułów pierwszej potrzeby, jak mięsa, chleba, jaj, cukru i t. d. spadło znacznie.

Wódka — „pocieszycielka" — zastępuje niestety wszystkie braki, ogłusza, oszałamia, łamie wolę do walki.

Wódka to wróg!

Sąsiadki

Mieszkamy w domu czynszowym dla robotników. W korytarzu jest sześć mieszkań jednoizbowych, tak, że liczba lokatorów jednego piętra dochodzi do 40 osób, czasem więcej, jeżeli są podnajemcy. W izbach nie ma wodociągu, na korytarzu jeden dla wszystkich.

Już wodociąg jest powodem poważnych nieporozumień, między sąsiadkami. Kolejność brania wody, wycieranie zalanego korytarza i wiele innych mniejszych spraw składa się na atmosferę niepokoju.

Ubikacja, strych, to także miejsca sporu dla lokatorów.

W kłótniach pierwsze miejsce zajmują kobiety, ale i dzieci uczestniczą w awanturach, często powodują nieporozumienia.

Ciężko żyć w takich warunkach, nerwy nie wytrzymują, wystarczy jedna uwaga, żeby uczestniczyć w ogniu walki korytarzowej.

I w ten sposób znalazłam się w sądzie jako świadek. Jedna sąsiadka obraziła drugą, ta znowu trzecią i prawie „cały korytarz" przespacerował się przed kratkami sądowemi.

Ile zmarnowanych pieniędzy, czasu, zdrowia kosztuje taka rozprawa, taka „pyskówka".

Na małych wydarzeniach korytarzowych skupiona jest uwaga tych biednych ludzi i trudno zwrócić ich uwagę na prawdziwe przyczyny niedoli. Taka kamienica czynszowa to historja życia tylu rodzin, smutnych, wystraszonych, obawiających się, żeby nie stracić zarobku, albo oddających cały wysiłek, żeby znaleźć pracę. Nawet dzieci prowadzą na ten temat rozmowy.

„Czy twój tata robi, czy twoja mama ma pracę" — słyszy się często kilkuletniego brzdąca, jak pyta drugiego pętaka.

Dlaczego ludzie się tak męczą, dlaczego nie mogą oderwać się od swojej niemocy! Nie mogę tego zrozumieć.

Często staram się na ten temat rozmawiać z sąsiadkami, pokazuję „Głos Kobiet" i namawiam, żeby czytały i zainteresowały się ważnemu sprawami.

Chociaż ciężko przekonać, zwłaszcza starsze kobiety, nie straciłam wiary, że i na naszym korytarzu znajdę kilka czytelniczek dla „Głosu Kobiet".

Nazywają mnie „czerwoną", co mnie wcale nie obraża. Jednak przyznają, że „czerwona" pomaga wszystkim w korytarzu, czy dobrą radą, czy opieką w razie choroby, czy dziećmi się zajmie, gdy matki idą do pracy.

Jestem żoną drobnego urzędnika, dzieci nie mam, więc poczuwam się do obowiązku pomagania sąsiadkom.

Lepiej, niż bić się na korytarzu i stawać w sądach. **Czerwona**



Znalazła pracę

Skończyła szkołę powszechną, chciała uczyć się w szkole zawodowej, jednak brak środków nie pozwolił na dalsze kształcenie.

Długo się namyślała dziewczyna do jakiej się zabrać roboty, aż matka zapytała, czy nie miałaby ochoty na kolporterkę „Głosu Kobiet", „Tygodnia Robotnika", wogóle prasy P. P. S.

Zdawało się, że praca będzie ciężka: obejść tyle ulic, tyle domów, tyle schodów, pukać czy dzwonić do tylu drzwi. Ludzie obcy może skrzyczą, może wyrzucą, takie ciężkie czasy, o każdy grosz tak trudno.

Obawiała się zwłaszcza kobiet, bo niechętnie kupują gazety.

Nie taki djabeł czarny, jak go malują. Przekonała się o tem prędko, bo nie usłyszała ani jednej przykrej uwagi, przeciwnie, niejedna kobieta żałowała, że nie ma „dziesiątki" i gazety kupić nie może.

Sprzedała 80 egz. „Głosu Kobiet", trochę „Tygodnia" i otrzymała zamówienie w kilkunastu mieszkaniach, żeby przyszła za tydzień, przygotują pieniądze.

Uradowana wróciła do domu.

Przedewszystkiem zjadła obiad i żałowała, że tak mało zostawili. Obliczyła zarobek i, o radości! — miała prawie 4 zł. w ręku. A przecież to dopiero początek pracy. Postanowiła więc zorganizować całe biuro, bo i dwaj młodsi bracia mogą pomagać. Podzielono więc ulice, kto, gdzie będzie chodził z kolporterką, i doszli do przekonania, że mogą zarobić tygodniowo 10 zł., a nawet więcej, co już będzie wielką pomocą dla matki.

„Kolporterka" chociaż ma dopiero 16 lat, nie jest już ślepa i głucha, rozumie, że musi uczestniczyć w walce, a z gazet dowiedziała się dużo, bardzo dużo. Zdaje mi się, że jest wiele dziewcząt i chłopców, którzy odpowiednio pokierowani przez matki, mogliby przysłużyć się partji i zarobić trochę pieniędzy.

Nasze listy

W odpowiedzi „Dońce" na list „Kto jestem i co chciałabym".

Często się zdarza, że różnym ludziom, te same myśli przychodzą do głowy. Zdarza się też, że ktoś sobie obmyśli jakiś plan pracy, a tu się dowiaduje, że taka praca już się gdzieś rozwija. Jest to wiadomość miła, bo tylko się skomunikować, i sprawa załatwiona. Dlatego to tak wielkie znaczenie ma dla nas „Głos Kobiet", a w nim listy czytelniczek i wzajemne porozumiewanie się.

Gdy przeczytałam list „Dońki", zaraz sobie pomyślałam: Dońka chce klubu kobiet, a kluby już w wielu miejscach są i wszędzie można je zakładać, bo jest to stowarzyszenie kobiece oświatowo - kulturalne, mające statut i możność tworzenia oddziałów w całej Polsce *). Właśnie 16 lutego był zjazd klubów i przyjęłyśmy wniosek, że wszystkie członkinie zaprenumerują „Głos Kobiet", jeśli tego dotychczas nie zrobiły, więc to nasze kochane pismo będzie nas jednoczyło.

Nie uważamy się wcale za instytucję filantropijną, a jednak robimy to, o czem marzy Dońka. Oto np. Klub Kobiet w Łapach robi zabawki i urządza zabawy dla dzieci, a ostatnio nawet pokusił się o zrobienie teatrzyku kukiełek i klubistki szyły różne misie, kotki, lalki na długich patykach, przy pomocy których manipulowały na małej scence, jak w szopce. Mamy i „warsztaty własnych rąk". Klub w Sannikach — to właściwie spółdzielnia pracy żon bezrobotnych, które z robót siatkowych utrzymują rodziny, a Kluby starają się o zbyt dla tych robót. Znów gdzie indziej, w dalekim Wołkowysku okazało się, że jedna członkini zna krój — zaraz zorganizowały się lekcje kroju i szycia. Na wzajemnej pomocy oparte jest też dokształcanie klubistek, które teraz postanowiłyśmy wzmocnić, bo cóż robić — są między nami nawet analfabetki, a częściej takie, co nie umieją pisać. W jednym Klubie np. bibljotekarka, lubiąca bardzo książki, powiada, że nie umie pisać. No, czy tak może zostać? Pogadanki i odczyty, najrozmaitsze dyskusje, wycieczki, śpiew, przedstawienia amatorskie do spółki z młodzieżą T. U. R. np. w Kaliszu, Brwinowie — oto co składa się na pracę klubów. No, czy właśnie nie o to szło „Dońce"? **W.**

*) Tow. Klubów Kobiet Pracujących, Warszawa Al. 3 Maja 2 m. 68.

W naszym domu

Kto nie ma w kieszeni, musi mieć w głowie

Jeżeli najlepszą nawet potrawę zbyt często będziemy jednakowo przyrządzali — obrzydnie ona w krótkim czasie wszystkim domownikom do tego stopnia, że będą się krzywili na sam jej widok, krzyczeli: „już mamy tego potąd“ i ilustrowali swój protest efektownym gestem, wodząc palcem po gardle.

Średnia przyjemność dla matki, która w pocie czoła i w parze buchającej z garnków pitrasiła dla niewdzięczników obiad.

Ale nie można gniewać się na nich za ten bunt. Bo dlaczego np. tak smakują nam zazwyczaj potrawy, któremi częstują nas sąsiedzi, które zjadamy gdzieś u obcych? Czyż są naprawdę lepsze, niż te, na których przyrządzenie tyle energji i starania zużywamy w domu? Bynajmniej — są tylko inne i nie zdążyły się nam „przejeść“.

Smak nasz bowiem lubi niespodzianki, jest trochę kapryśny, ciekawski i awanturniczy, co znaczy, iż szuka nowych przygód. Ale potrafi się też wywdzięczyć, jeśli mu dogodzimy — pobudza lepszy apetyt i sprawniejsze trawienie.

Jeśli więc nie narusza to bardziej naszej kieszeni, tylko zmusza do poruszenia naszą pomysłowość — zadajmy sobie trochę trudu, nie upierajmy się przy swem kuchennem „dokoła Wojtek“ — i zapożyczmy trochę sposobów gotowania z innych domów.

Weźmy najprostszy przykład — barszcz. Czy koniecznie musi to być czerwony barszcz z kartoflami? Wydać by się mogło, że to już przy stworzeniu świata zaprowadzone zostało, aby barszcz jadano z kartoflami, jakgdyby się ten barszcz z kartoflami urodził.

W najbliższy dzień „barszczowy“ zrobimy rewolucję barszczową tego rodzaju: oszukamy smak męża i dzieci i przyrządzimy barszcz burakowy na grzybowym smaku i damy do niego właśnie, że nie kartofle, tylko — uszka.

Robi się to w ten sposób:

Kilka deka surowych grzybów wymyć w kilku wodach, zalać zimną wodą, gotować godzinę, dodając jedną dużą cebulę.

4 buraki średniej wielkości obrać, utrzeć na tarce, włożyć do rondla, lekko osolić, zalać wrzącym przecedzonym smakiem grzybowym i postawić z boku na blasze, aby się zupa nie gotowała, ale była gorąca.

Pozostawić tak do dwóch godzin, potem przecedzić, doprawić do smaku, dodając kwasku cytrynowego, trochę cukru, soli. Zagotować i wlać do wazy na uszki grzybowe.

Uszka do barszczu: ćwierć kg. mąki, 1 jajko, pół łyżeczki masła, trochę soli i tyle letniej wody, ile mąka wchłonie. Zagnieść ciasto, przykryć wygrzaną miseczką i zostawić tak na godzinę.

Grzyby, na których gotował się smak do barszczu, zemleć na maszynce od mięsa, przesmażyć łyżkę masła z jedną drobno usiekaną cebulą, wymieszać z grzybami, wsypać trochę tartej bułki, dodać żółtko albo całe jajko, posolić do smaku, można dodać odrobinę białego pieprzu, wymieszać.

Rozwałkować ciasto cienko, ale nie zabardzo, wykrawać małe kwadraciki i po nałożeniu farszu składać w trójkątne uszka. Gotować na osolonej wodzie albo wprost na barszczu.

I zaraz po zadziwieniu rodziny nową formą barszczu zabieramy się przygotowania jeszcze innej jego postaci, którą zaimponujemy za kilka dni.

Będzie to barszcz kwaszony — też nie z kartoflami, tylko z pasztecikami i kapustą. Nazwa bardzo elegancka, ale robota dosyć prosta.

Barszcz kwaszony ma doskonały winny smak, zdrowy jest bardzo, gdyż zawiera kwas naturalny. Zakwasza się go w ten sposób:

Obrać i umyć 10 średniej wielkości buraków ćwikłowych. Pokrajać na drobne paseczki, włożyć do kamiennego garnka, zalać letnią przegotowaną wodą. Wrzucić kawałek żytniego (kwaśnego) chleba, postawić w cieple, niedaleko kuchni. Po czterech — sześciu dniach barszcz powinien być już zdatny do użycia. Powstającą na wierzchu pleśń zdjąć starannie, chleb usunąć, przemieszać kwas od spodu. Tak przyrządzony barszcz dolewać do mocnego rosołu, albo też zagotować z domieszką szczypty soli i cukru.

A teraz paszteciki:

Szklanka kwaśnej śmietany, dwie szklanki mąki, 3 deka masła, pół łyżeczki soli, pół główki kapusty, 5 dk. grzybów surowych (można obejść się i bez grzybków — też będzie smaczne), pół cebuli, jeszcze 10 deka masła, trochę pieprzu, soli. Zagnieść ciasto podług wskazanej proporcji, wynieść do chłodu. Kapustę poszatkować, sparzyć wrzątkiem, osączyć. Przesmażyć masło z drobno krajaną cebulką (nie rumieniąc), włożyć w nie kapustę, dusić, dopóki nie zmiękknie. Nie dolewać wody. Dodać drobno pokrojone grzybki (jeżeli zdecydowaliśmy się na ten luksus), doprawić do smaku solą — kto lubi, pieprzem.

Rozwałkować ciasto na pół palca grubo. Wykrawać spore krążki. Kłaść pośrodku krążka farsz z kapusty, zebrać brzegi, zlepić mocno palcami. Gotowe pierożki posmarować rozbitem jajkiem, ułożyć na wysmarowanej masłem blasze, upiec w gorącym piecu.

A potem nie dać się nabrać. Kiedy wszyscy będą wołali: „Jakie dobre“, niech mama zrobi to jeszcze jutro“ — uprzeć się i w myśl zasad, o których mówiliśmy na początku, nie gotować tego po raz drugi aż za parę tygodni najwcześniej.

W ten sposób mamy już trzy różne barszcze — więc jeśli raz na tydzień chcemy ugotować barszcz, mamy na trzy tygodnie spokojną głowę, a zarazem pewność, że wilk będzie syty (to o mężu oczywiście mowa) i owca (ale to, uchowaj Bóg, nie o żonie) cała — czyli, że gromadka domowa będzie zadowolona i daleka od narzekania: „znów ten barszcz“.

Moda w zgodzie z oszczędnością

Przywiązujemy się do ludzi, zwierząt, domu, ale też i do rzeczy. A pośród tych rzeczy niemałe mają znaczenie — zwłaszcza dla kobiet — suknie.

Zdarzają się takie „ulubienice“, co to drą się na kawałki, spadają formalnie z pleców, a trudno się z niemi rozstać. Ciągle wkładamy je „ostatni raz“. Ja np. miałam taką „ukochaną“ sukienkę, przerabiałam ją wciąż, bo coraz mniej, zdatnych do użycia miała części, aż wreszcie z najostatniejszych jej resztek zrobiłam... grzbiety do oprawy książek. Taka „wierność“ godna jest może lepszej sprawy, ale cóż — każda z nas ma swe słabostki.



Nie będziemy tutaj dociekały, co jest przyczyną tego „ubraniowego przywiązania“, ale obmyślimy sposób, który nam możliwie opóźni takie ostateczne rozstanie z ulubionym galgankiem.

Na rysunku dzisiejszym mamy właśnie rozwiązanie, jak przedłużyć żywot „ukochanej“ sukni. Widzimy, że złożona jest z dwóch różnych materjałów. Jeden z nich — to właśnie resztki naszej ulubienicy, która, w zależności od tego, ile w niej „zdrowego“ materjału zostało, stanowi rdzeń nowej sukienki, albo też jej dodatki. A więc tą pozostałością jest albo gładki na naszym rysunku materjał, albo też ten w groszki (oczywiście, wzór czy brak wzoru nie odgrywa tu roli, w ten sposób zaznaczamy tylko, że suknia składa się z dwuch różnych materjałów).

A może mamy do rozporządzenia dwie „spróchniałe“ suknie. To jeszcze lepiej. Łączymy je podług tego wzoru i otrzymujemy zupełnie nową kombinację, nie wydając ani grosza na kupienie nowego materjału.

Czy sądzicie, że gdy się pokażemy w takiej „skombinowanej“ chytrze sukni, to wszyscy się zaraz domyślą, iż to jest model, co się nazywa „kryzysówka“ uszyty ze starych sukien? Bynajmniej. Bo moda jest wprawdzie okrutnie wymagająca, wciąż narzuca jakieś nowe kroje i nowe materjały, ale nieraz w swych kapryśnych pomysłach tak się zagalopuje, że idzie nam jakgdyby na rękę.

I właśnie w tym wypadku, gdy zaleca kombinowanie dwóch różnych materjałów na suknię. Bo my sobie sprytnie radzimy z tym nakazem mody: dokupujemy tylko część brakującego materjału, albo nawet obywamy się dwiema staremi sukienkami i przerabiamy je w ten sposób, że i jesteśmy modne i nic to nas nie kosztuje.

Podany model zawiera jeszcze jeden dyskretny szczegół: oto można tę suknię przez przewleczenie gumy pod paskiem dowolnie poszerzać w pasie, co jest w pewnych dobrze znanych okolicznościach koniecznością. A po upływie dziewięciu miesięcy — bez przeróbki suknia jest znowu zdatna do użytku i tak samo „dobrze leży“.

Redakcja i administracja — Warszawa, Warecka 7, tel. 230-52. P. K. O. Nr. 6922. Za dział ogłoszeń redakcja nie przyjmuje odpowiedzialności.
Pod redakcją: Doroty Kłuszyńskiej. Redaktor odpowiedzialny: Apolonja Rybakowa. Wydawca: Centralny Wydział Kobiecy Pol. Partji Socjalist. cz.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Odbito w drukarni „Robotnika“, Warecka 7.